

— Panno Nelly, chciałabym mieć teraz spokój.

— I owszem, tylko jeszcze kilka słów. We-sele było niezwykle. Trzeba było widzieć, z jaką dumą i pogardą mówiła o mężu, z jaką stanowczością mówiła o zemście. Była prawdziwą Junoną, ale z piorunami Jowisza w dłoni.

— O kim pani mówi? spytała Laura zacię-wiona, udając obojętność.

— O Leonorze Arnym, która w czasie uczty weselnej nazwała męża niegodziwym, wyrzucała mu, w jak podstępny sposób zniewolił ją do małżeństwa, a potem znikła bez śladu.

— Co? ona uciekła? jej nie ma? — spytała Laura, jakby przerażona i zapominając o tem, że stąpać nie może, zerwała się z otomany i skoczyła na równe nogi.

— A tak, uciekła, nie ma jej — odpowiedzia-ła Nelly cicho, spokojnie, wymawiając każde słowo jakby od niechcenia.

— Mów, jak się to stało? — wołała Laura, biegnąc ku towarzysze.

— Uciekła, zapowiedziawszy zemstę, no, i była zemsta, bo... w łóżku znaleziono trupa.

— Czyj trup? krzyknęła Laura przerażliwie.

— Był to trup Arteveldta — cedziła spokojnie Nelly Brown, patrząc Laurze bystro w oczy. Zamordowano go dziś w nocy, w noc weselną.

— Straszne! Wyszeptała Laura i, chwytając się na nogach, wróciła do otomany. Położyła się, zamknęła oczy, a na jej twarzy znać było ciężką walkę wewnętrzną, aby stłumić gwałtowne wzruszenie, a dobyć z duszy bodaj pozorny spokój.

— Może pani przeczyta opis tego wszystkiego w dzienniku. Ciekawy opis. Proszę. oto dziennik. Może pani chce zasnąć? no, to zostawiam na stoliku na jutro. Dobranoc panno Lauro.

Nie odezwała się wcale; Nelly wyszła, złośliwie uśmiechnięta, szydąc, zadowolona z siebie.

Zaledwie drzwi za sobą zamknęła, zerwała się Laura, pochwyciła gazetę i błędnie oczyma chwyciła druk. Ręce jej opadły, gazeta zsunęła się na dywan. Chwilę stała skamieniała, potem załkała bełśnie, przycisnęła pięści do głowy i biegając z kąta w kąt dławiała się łkaniem.

— Mój Frank nie żyje! Frank zamordowany! On zamordowany, a nie ona, nie ona! Ach! to straszne! Cios trafił w jego głowę! Co się to stało? Ha! ha! ha! szalony cios, wściekły cios!

Śmiała się śmiechem szaleńca; oczy jej rozwierały się szeroko, bezmyślnie, bezradnie; ryknęła z bólu i padła zemdłona na dywan.

W tej samej chwili wsunęła się Nelly i zaczęła cucić omdlałą. Gdy odzyskała przytomność, była już panią siebie i wyraziła zdziwienie, z jakiego powodu tak niespodzianie zemdlała. Nelly uśmiechała się tylko coraz złośliwiej, zawołała pokojówki, aby pomogła Laurze się rozebrać i wyszła.

Laura nie spała przez całą noc. Dręczyły ją wzruszenia, czy widma senne; niespokojna była, rozstrojona i wstała wcześniej, niż zwykle. Zaraz wysłała bilecik do Fergus, przyjaciela Arteveldta, z prośbą, aby ją odwiedził jak najprędzej. Jakoż w godzinę potem był już Fergus w salonie, pewnie, że go będzie Laura pytała o szczegóły tragedii Arteveldta. Jakże się zdumiał, gdy Laura spokojnie i obojętnie zapytała:

— Kiedy dom pański będzie już gotów?

— Dlaczego się pani o to pyta?

— Bo chciałabym, abyś się pan pośpieszył z wszelkimi urządzeniami

— Pospiesz się? Ależ pani właśnie powstrzymywałaś mnie od pośpiechu.

— Teraz życzę sobie przeciwnie. Proszę o pośpiech.

— A i owszem; wszakże mnie przedewszystkiem zależy na tem, aby już raz wszystko ukończyć.

— Teraz jeszcze jedno. Musisz pan zabrać Nelly Brown natychmiast! Natychmiast, powiadam.

— A to dlaczego? czy wydarzyło się coś nie miłego?

— To dla pana obojętne. Niechcę Nelly widzieć i na tem koniec. Kiedy ją pan zabierze?

— To zależy od tego...

— Zależy od tego, czy panu za to dobrze zapłacę? co? prawda? Bądźmy szczerzy. Chcesz pan zarobić tysiąc dolarów?

— Któżby nie chciał?

— Masz tu pan pięćset z góry, a resztę wypłacę, gdy Nelly nie będzie już przy mnie. Spiesz się pan i pamiętaj, że ja tej dziewczyny widzieć już nie chcę, nie mogę.

Fergus z wielką przyjemnością schował pieniądze, wdzięcznie się pożegnał i odszedłszy, długo myślał nad tem, dlaczego Laura ani słowem nie spytała o Arteveldta, dlaczego tak prędko pozbywa się towarzyski. Zagadki rozwiązać nie zdołał.



W tej samej chwili wsunęła się Nelly i zaczęła cucić omdlałą.

XII.

Wspólnymi siłami.

Było to właśnie tego samego dnia, gdy Arteveldt padł ofiarą zemsty. W zamku Devonshire w Anglii, siedział posepny baronet Sir Reginald Hillary w swej bibliotece i słuchał uważnie opowiadania młodego człowieka. Był to Francis Ferrars, najznakomitszy agent policyi angielskiej. Mężczyzna to silnie, kształtnie zbudowany, o wejściu pełnym inteligencji. Rysy twarzy mówiły wyraźnie, że w tym człowieku tkwi energia, silna wola, stanowczość i przenikliwość.

— Oto rezultat moich długich zabiegów, kończył opowiadanie Ferrars, a że nie powiodły się tak, jak tego pragnąłem, to już z winy niedokładnych informacji. Pan baronet wybaczy, że pozwolę sobie na rekapitulację całej sprawy; jest to potrzebne, nawet niezbędne, bo może nasunąć się przytem pamięci pańskiej jaki nowy szczegół, może jakie nowe życzenie.

— Owszem, proszę bardzo. Słucham pana.

— A więc zaczynam od tego, jak przed trzema laty raczyłeś mnie pan wezwać, panie baronecie i opowiedziałeś taką historię.

„Czternaście lat temu żyła w południowej Francji młoda kobieta, zameżna za Anglikiem, pochodzącym z rodziny bogatej i starożytnej. Małżeństwo zawarte było potajemnie, więc młoda para żyła tam pod przybranym, obcym nazwiskiem. Mieli córkę, byli szczęśliwi, zadowoleni z siebie, aż pewnego dnia wyjechał nagle Anglik, a że przez długi czas nie wracał i wiadomości o sobie nie dawał, żona jego nabrała przekonania, że ją opuścił. Do tego mniemania przyczyniło się najbardziej to, że w ostatnich czasach, przed jego wyjazdem, jeden z jego krewnych zasypywał go dotkliwą dla obojga korespondencją, zmierzającą do tego, aby to małżeństwo zerwać. Gdy mąż zniknął, obawiała się, aby jej i dziecka nie porwano, dlatego opuściła potajemnie miejsce pobytu i gdzieś w świecie przepadła bez wieści“.

Opowiedziałeś mi pan, panie baronecie tylko tyle, a nie chciałeś powiedzieć reszty. Nie powiedziałaś pan, że owa kobieta była żoną pańskiego jedynaka, nie powiedziałaś pan, że osobiście, a nie tylko listownie, obraziłeś synową. Nie powiedziałaś pan, że syn pański nie wrócił do żony, bo umarł w Anglii. A to były szczegóły wcale ważne dla mnie i ośm miesięcy straciłem na to, żeby rozbijając się po różnych zakątkach Europy, wreszcie dociec tego, o czem mogłem się być dowiedzieć w kilku minutach.

— Przyznaje panu zupełną słuszność, a ze swej strony przypomnę, że potem nie tałem już niczego i dziś jeszcze powtarzam panu: znajdź spadkobiercę mojego mienia, wyszukaj córkę mojego syna!

— Przedewszystkiem muszę znaleźć pańskiego kuzyna.

— Ach! to zakała naszego rodu. Jason Bradmardine jest niestety najbliższym moim krewnym, acz właściwie bardzo dalekim. To niegodziwiec, co z ubolewaniem, ale i z naciskiem panu powtarzam.

— Niech pan, panie baronecie, nie zadaje sobie przykrości mówienia o nim. Wiem dobrze jak pana Bradmardine oceniać. Aby pozyskać milionową sukcesję po panu, wysłała się teraz, aby ukryć, lub usunąć na zawsze córkę pańskiego syna. Walczy o milion. Taki człowiek toczy walkę o milion zawzięcie, podstępnie, nawet nikczemnie, więc przedewszystkiem muszę go dopaść, aby nam w tej walce o milion nie wydarł zwycięstwa. Nie nleża wątpliwości, że używa wszelkich środków, aby nie dopuścić do znalezienia pańskiej wnuczki.

— Według odwiecznych ustaw naszego rodu, dziedziczyć mogą i kobiety w prostej linii. Córka mego syna jest więc prawą spadkobierczynią mojego mienia, przedstawiającego wartość miliona funtów szterlingów. Gdybym jej nie odzyskał, byłby w moc prawa spadkowego dziedzicem ów nikczemnik, dla którego mam tylko pogardę.

Czyż zamek Devonshire, odwieczna siedziba zasłużonych w narodzie, uczciwych ludzi, ma stać się jaskinią bandytów? Panie Ferrars, czyń co możesz, nie szczędź moich pieniędzy i ocal moje stare gniazdo rodowe od zgłady, moją starą, siwą głowę od kańby.

Starzec zapłakał.

— Gdybym miał życie narazić, będę panu służył i mam nadzieję, że usłuży.

— Co pan teraz uczynisz? zapytał baronet, uspokoiwszy się nieco i ochłonawszy z głębokiego wzruszenia.

— Pierwszym statkiem odpłynę do Ameryki.

— Do Ameryki?

— Tak panie baronecie. Jason Bradmardine jest w Ameryce, a więc zapewne i pańska wnuczka. On pewnie nie spuszcza z niej oka i czycha na taką chwilę, w którejby mógł na zawsze się jej pozbyć i zdobyć milion w tej walce prawa ze zbrodnią, czy z uroszczeniem tylko.

— Skąd pan wiesz o tem?

(Ciąg dalszy nastąpi).